



**K**ilimandżaro to nazwa magiczna. Gdy ją słyszymy, wymawiany, czytamy – nasza wyobraźnia kreuje widok rozległej sawanny z żyrafami, słoniami i inną zwierzyną, ponad którą gdzieś wysoko skrzy się w słońcu pokryta wiecznym śniegiem góra. I choć w Afryce Wschodniej jest wiele innych

w parku (od jednego turysty oczywiście). Jeśli dodać do tego komplet wspomnianych usług firmy-organizatora to wychodzi 500 USD od osoby za 5-dniowy trekking. „Kilimandżaro wypali dziurę w Twoim budżecie” – reasumuje słynny przewodnik z serii *lonely planet*. Święte słowa. Jeśli jednak zdecydowaliśmy się

pletnie nas ignorując. Biwakowaliśmy w namiotach na sawannie. Nocą cykady odgrywały swój koncert, a na niebo wytaczał się Krzyż Południa. Podczas jednego z posiłków przeżyliśmy „napad” dużego pawiana, który porwał część naszego menu. Bez wątplenia byliśmy w prawdziwej Afryce.

## DŁUGA DROGA NA KILIMANDŻARO (I)

gór, jak chociażby Kenia, Elgon, Ruwenzori, Karisimbi czy Meru, równie interesujących albo ciekawszych, żadna z nich nie ma tej siły przyciągania co Kilimandżaro.

Na magię Kilimandżaro składa się magia cyfr. 5895 metrów nad poziom morza – największa wysokość na kontynencie afrykańskim. Lgną więc do tej góry zarówno rasowi himalaisci, którym brakuje „puzzla” do tzw. Korony Ziemi, jak i ludzie, którzy nigdy wcześniej po górach nie chodzili, ale ulegli nieodpartemu urokowi dźwięcznej nazwy. Pomiedzy tymi skrajnościami mieści się olbrzymia masa mniej lub bardziej zaawansowanych górolazów, turystów, globtroterów idących po przygodę i satysfakcję.

Brak trudności technicznych na co najmniej dwóch najłatwiejszych drogach wejściowych ugruntował przekonanie, że przeciwnikiem nr 1 na Kilimandżaro jest wysokość. I owszem, wejść zbyt pośpiesznym spacerem na niemal sześć tysięcy to zadanie nie dla wszystkich wykonalne. Ponoć większość zawraca bez osiągnięcia wierzchołka. Wzdragam się jednak przed zacytowaniem danych procentowych, gdyż podejrzewam, że odsetek osób osiągających wierzchołek może być zaniżony w celu wytworzenia efektu psychologicznego. „Nie wejdiesz – trudno, po prostu należysz do większości”. „Wejdiesz – należysz do elity, tym bardziej ciesz się i raduj (i nie żałuj na napiwki)”.

Poważniejszym przeciwnikiem są jednak przepisy i opłaty w Parku Narodowym Kilimandżaro. Po terenie Parku można poruszać się jedynie w towarzystwie licencjonowanego przewodnika (w grupach powyżej 5 osób wymaga się dwóch przewodników). Wejście na teren Parku Narodowego Kilimandżaro musi być ponadto zorganizowane przez miejscową firmę turystyczną. Ta z kolei zwykła zatrudniać nie tylko przewodnika, ale i tabun tragarzy oraz kucharza, który sporządza turystom posiłki. To jest standard. Innej formy turystyki górskiej tamtejsi organizatorzy sobie nie wyobrażają.

Park z kolei pobiera 25 USD za 1 dzień pobytu oraz 40 USD za 1 noc

odżatować pięć banknotów z wizerunkiem Franklina i wyruszyć na tę górę, to trzeba przedsięwziąć absolutnie wszystko, by osiągnąć sukces.

Na początku lutego br. wylądowaliśmy w Nairobi z zamiarem spędzenia w Kenii i Tanzanii pięciu tygodni. Na czele rankingu celów stało oczywiście Kilimandżaro, ale na kolejnych miejscach były też inne góry, safari i wybrzeże.

W pierwszych dniach czuliśmy się jakby wokół nas rozgrywał się jakiś egzotyczny film. Za oknem mikrobusu przemierzającego sawannę Masai Mara przesuwały się obrazy ze stadami antylop, bawołów i zebra, ze słoniami, żyrafami i strusiami. Hipopotamy prychały w wodzie, a dwice wylegiwały się leniwie, kom-

Po tygodniu pobytu przystąpiliśmy do realizacji ważnego założenia – „poznawać góry i aklimatyzować się wysokościowo”. Rozstawiliśmy nasze namioty u podnóża góry Longonot niedaleko Nairobi. Longonot jest wygasłym wulkanem wyrastającym z dna Wielkiej Doliny Ryfowej, osiąga 2776 m n.p.m. i może być celem co najwyżej jednodniowej wycieczki.

W niespełną godzinę podeszliśmy do krawędzi krateru. Naszym oczom ukazał się fascynujący widok. Rozległe dno krateru, otoczone zewsząd urwistymi ścianami, wyściela zielony kożuch bujnej, tropikalnej roślinności. Izolacja i niedostępność dna krateru pobudza wyobraźnię. To tam właśnie mógłby istnieć jakiś „świat zaginiony”.

Do szczytu brakowało niemal połowy obozowiska. Dalej prowadziła nas wąska ścieżka graniowa z widokami na obie strony. Rozkoszowaliśmy się otoczeniem. Był to nasz pierwszy dzień w Kenii bez widoku samochodu. Podczas podejścia podniósł się pułap chmur ukrywających dotąd wierzchołek. Pierwszy afrykański szczyt uraczył nas panoramą.

Laskawość pogody była jednak ograniczona tego dnia. Do obozowiska wróciliśmy w strugach ulewnego deszczu. Teoretycznie miała być pora sucha. Ponoć w prądach morskich coś się namieszało, no i lało. Lało także wieczorem, gdy brnęliśmy przez błoto i kałuże do małej stacji kolejowej, na nocny pociąg do Nakuru.

Grupa ociekających wodą *Wazungu* (w suahili: „Biali”) w przepelnionym wagonie III klasy – to raczej niecodzienny widok. Tak zdawały się świadczyć zaciekawione spojrzenia czarnoskórych pasażerów. Nawet konduktor przejął się i usilnie zapraszał do wagonu restauracyjnego, gdzie można wygodnie usiąść. Najpierw gorąca herbata, a potem niezłe kenijskie piwo zdecydowanie poprawiły nam nastroje. Czarna, afrykańska noc z deszczem pozostała za oknem miarowo kołyszącego się wagonu.

Kolejnym „szczeblem w drabinie na Kilimandżaro” było Meru – tanzański wulkan wznoszący się nad miastem Arusha na wysokość 4562 m n.p.m.



Widok na młody stożek popiołowy ze ścieżki na wierzchołek Meru (Tanzania)



Wędrowka przez górską dżunglę w dolnych partiach Kilimandżaro

Nim jednak dotarliśmy do jego podnóża upłynął następny, obfitujący we wrażenia, tydzień naszej wyprawy. Oglądaliśmy wielotysięczne rzesze flamingów na słonym jeziorze Bogoria, tryskające wrzątkiem i parą gejzery oraz huczące wodospady. Z kolei w słodkowodnym jeziorze Baringo tropiliśmy z łodzi hipopotamy. Za dnia uciekały one w popłochu, za to nocą same wychodziły na brzeg paść się pomiędzy namiotami. W słynnej kalderze Ngorongoro uzupełniliśmy „kolekcję obejrzanej fauny” o nosorożce, a także o lwa z grzywą (no, bo jakże to? Afryka bez Króla Lwa?).

U podnóża Meru stanęliśmy niezłe naszpikowani egzotyką Czarnego Łądu. Dość nam już było godzin podskakiwania na werstepach w terenowych samochodach. Perspektywa wędrowania po górach przez 3 dni była szczególnie atrakcyjna. To jest minimalny czas, jaki należy poświęcić na Meru.

Na rozległych, widokowych polanach u podnóża wulkanu malowniczo prezentował się nasz pochód. Otwierał go Ngurungu – sympatyczny, parkowy przewodnik uzbrojony w strzelbę i ostrą amunicję. My podążaliśmy za nim z okazałymi, różnokolorowymi plecakami. W tym parku narodowym nie zmusza się turysty do wynajmu tragarzy, ani do powierzenia organizacji takiej wędrowki miejscowym firmom. Obowiązkowy jest tylko przewodnik, a kilku z nich dyżuruje przy bramie parku. Niesiemy więc sami spiwory, żywność, gaz i ciepłą odzież.

Na obszarze u podnóża Meru licznie zamieszkują zwierzęta. Widzieliśmy żyrafy, bawoły i dzikie świnie oraz świeży trop lamparta na naszej ścieżce.

– Ngurungu, ile razy musiałeś użyć broni w swojej pracy?

– Dwa. Raz strzelałem do bawołu, a raz do kłusownika – odpowiedział przewodnik. „Strzelać trzeba tylko, gdy to konieczne. To dom zwierząt. My jesteśmy tu gośćmi”. Takie były poglądy naszego rozmówcy.

Pierwszy etap dzienny kończymy w obozowisku Miriakamba Hut na wysokości 2500 m n.p.m. Schłodne baraki noclegowe otaczają uroczą polanę w górskiej dżungli. Na tej trasie nie użyliśmy namiotów. Łóżko w baraku i tak nam przysługiwało w ramach szytywnej parkowej opłaty, nie będącej przedmiotem targów.

W górach strefy równikowej najlepsza widoczność jest zazwyczaj wcześniej rano. Potem lubi się szybko psuć. Poranny widok skalnej ściany Meru z naszej polany podzielał na mnie jak magnes. W drogę! W górę! Przez pierwsze dwie godziny marszu otaczał nas fantastyczny las tropikalny z nadrzewnymi porostami i mchami. Potem ustąpił krzewiastej formacji wrzośców. Wreszcie na wysokości 3500 m n.p.m. z zarośli wyłoniły się równie przyzwyczajone baraki obozowiska Saddle Hut. Dla naszych plecaków był to już koniec etapu, a zarazem ostateczny koniec wnoszenia ich na tę górę. My natomiast, po posiłku i dłuższym odpoczynku, wspięliśmy się na nieodległy wierzchołek zwany Little Meru (3820 m n.p.m.).

Spanie w Saddle Hut nie było długie. Na Meru wychodzi się o drugiej w nocy, aby tuż po świcie być na szczycie. Nie spałem dobrze i słyszałem odgłosy z zewnątrz. Po dachu baraku bębnił deszcz. „Wściekła się ta pogoda, czy co!? Gdzie się podziało gwiaździste niebo!? Jaja sobie z nas robi!?! Z reguł klimatu kpi!?”

O północy bębnienie. Pierwsza – leje nadal. Druga – pada! Nie mży, nie siąpi, ale najzwyczajniej pada! A my już na nogach. Nie ma mowy o powrocie do łóżek. Przeciągamy herbatkę i czekamy w gotowości. O drugiej trzydzieści ni stąd ni zowąd zebrało się. Wychodzimy. Noc czarna jak smoła. Mgła gęsta jak zupa. Tułają się do nas mokre gałęzie. Latarki nie lubią wilgoci i po pewnym czasie przystępują do strajku ostrzegawczego – żółknie światło. Byłe do brzasku. Po dwóch godzinach marszu przez chmury przebija jakaś jasność. Wkrótce ukazuje się księżyc, a my wydobywamy się ponad pułap chmur. Jest różnie, ale minęła już trzecia godzina w drodze, a świtu – ani widu, ani słychu.

To się stało nagle, na małej przełęczce otwierającej nam widok na wschód. Stanęliśmy jak wryci. Chmury płonęły gamą czerwieni, a między dwiema ich warstwami wznosiła się wysoka góra. Tak po raz pierwszy ujrzeliśmy Kilimandżaro.

„Nigdy nie widziałam w górach czegoś tak pięknego” – zwierzyła się później Dorota. O 7.30 rano stanęliśmy na skalistym szczycie Meru. Było nas sześć plus przewodnik. Dla czterech osób był to życiowy rekord wysokości, 4562 m n.p.m.

Dopiero w zejściu mogliśmy obejrzeć naszą nocną trasę. To co oglądaliśmy powyżej czterech tysięcy było niemal bezroślinnym królestwem wulkanicznych skał, zwietrzelin i popiołów. Z wnętrza starego, niekompletnego już krateru wznosił się młody stożek wewnętrzny. Taka już natura wulkanów, że lubią formować swe stożki jeden w drugim, niczym „ruskie baby”.

Delektowanie się panoramami podczas zejścia należy do miłych części górskiego wędrowania, pod warunkiem, że tego zejścia jest znacznie mniej niż 3000 metrów różnicy poziomów. My natomiast właśnie tyle zaplanowaliśmy na ów dzień (w tym 2000 z plecakami, które pozostały w Saddle Hut). Po co ten pośpiech? Przede wszystkim po pieniądze. Jedna noc w Arusha National Park to 20\$, zaś kolejny dzień kalendarzowy 25\$. Wszystko oczywiście od osoby. Nasz wstęp na tę wspinałką górę, wraz z 2 noclegami oraz usługą przewodnicką, i tak już kosztował nas po 142\$ na głowę. „Węże w kieszeniach załęgły się wszystkim solidarnie” i nikt nie miał ochoty sięgać do kabzy.

Byliśmy już dość nisko, na błotnistej ścieżce w dżungli, gdy nastąpiła „fala urodzaju” na potknięcia, poślizgnięcia i upadki. Po jednym z nich Beata doznała „awarii” mięśnia pośladowego. Z kolei Dorocie „siadły” kolana nim dotarliśmy do chatki Miriakamaba. Jakże przyjemnie byłoby tam zanoć? Ograniczyliśmy się jednak do godzinnego odpoczynku w baraku. Obie dziewczyny zostały odciążone z całości swych plecaków przez



Starzec – wspinała roślina strefy afro-alpejskiej



Wędrówka przez pola lawowe Kilimandżaro na wysokości ok. 4200 m

męską część ekipy. Ruszyliśmy dalej w dół. Jeszcze przed 17.00 byliśmy przy bramie parku narodowego.

Ngurungu szczerze cieszył się z naszego wejścia szczytowego, a zmęczonym tak dodawał otuchy (wskazując na wierzchołek):

– Popatrz, byłeś tam dzisiaj! Zrobiłeś to! Jesteś szczęśliwa! Mało kto robi Meru w 3 dni, najczęściej w 4.

Na zakończenie przewodnik otrzymał od nas kilkunastodolarowy napiwek. Jak na miejscowe stosunki i obyczaje jest to suma symboliczna. On tymczasem nie skrzywił się, nie grymasił, nie powiedział, „że to mało”. Z uśmiechem wysłuchał moich podziękowań. Nie zawsze w Afryce tak bywa. Nieraz całkiem sympatyczni tubylcy potrafią zepsuć atmosferę pożegnania, dopraszając się podwyższenia napiwku.

„Good by, Ngurungu !” Będziemy Cię miło wspominać.

Na całodniowy wypoczynek w mieście Arusha składały się głównie: spanie do oporu, jedzenie, picie piwa oraz inne przyjemności. Taki dzień „luzu i nicnierobienia” po zejściu z Meru był konieczny. Był też potrzebny z uwagi na wyzwanie czekające nas nazajutrz.

Kilimandżaro! Wyruszamy wreszcie na dach Afryki! Ta wielka i rozłożysta góra wulkanicznego pochodzenia ma dwa wybitne wierzchołki (Kibo i Mawenzi) oraz trzeci małutki (Shira). Najwyższy z nich, Kibo, jest pokryty wiecznym śniegiem, ale i on ma kilka kulminacji jak na nieźle zachowany krater przystało. Najwyższe wzniesienie na Kibo nosi nazwę Uhuru Peak. I to jest właśnie TO miejsce, TA „Mekka” ludzi gór, której ogólnie na imię Kilimandżaro.

Na górę prowadzi siedem ścieżek z różnych stron, ale na sam szczyt już tylko trzy. Z tej trójki najłatwiejsza jest droga od strony Kibo Hut, będąca przedłużeniem trasy Marangu, najpopularniejszej i najliczniej uczęszczanej. Druga jest ścieżka od Barafu Hut, także bezproblemowa technicznie i śnieżnie, a będąca przedłużeniem trasy Mweka. I wreszcie trzecia droga przez tzw. Western Breach („wyłom zachodni”) jest najkropotliwsza ze względu na spore zaśnieżenie i możliwość zalodzenia.

Piękne, słoneczne przedpołudnie bez chmur wprawiło nas w znakomity nastrój, który nie dawał się zmacić byle drobiażgiem. Skoro rozmyło drogę i mikrobus nie dowiezie nas do samego miejsca startu, podejmiemy pieszo.

– *Hakuna matata* (w suahili: „nie ma problemu”).

Tym razem szła nas niemal armia – nasza szóstka, dwóch przewodników, kucharz i sześciu tragarzy. Razem 15 osób. Podchodziliśmy drogą z wioski Machame. To jedna z tych tras, na których nie ma bungalowów dla turystów i trzeba używać namiotów. Jest ona mniej popularna także i z tego powodu, że wyprowadza w zachodnią część góry. Od zachodu natomiast najlogiczniejszą kontynuacją ku szczytowi jest problematyczna ścieżka przez Western Breach. My właśnie tamtędy zamierzamy wchodzić, planując całość trasy na 5 dni.

Strasznie dziwnie się czułem, wędrując jedynie z małym plecaczkiem i aparatem fotograficznym. Luksus jak za kolonialnych czasów. Biały idzie wygodnie, a Murzyn dźwiga. Przyznaję jednak, że wędrówka bez obciążenia ma swoje niezaprzeczalne plusy. Człowiek ma większą ochotę na podziwianie i fotografowanie otoczenia. A otoczenie było fantastyczne. Gęsty las tropikalny zachwycał na każdym kroku. Mchy i porosty nadawały drzewom niesamowity wygląd. Rosły tam wielkie paprocie drzewiaste. Dotąd myślałem, że takie cuda na patyku wyginęły w karbonie.

Pierwszy dzień wędrówki zakończyliśmy w obozowisku Machame Hut na wysokości ok. 3200 m n.p.m. I tutaj znów „dziwołagi”. Zamiast przystąpić do robienia posiłku, jak to mamy w górskim zwyczaju – czekamy. Papu to robota kucharza, który uwarzył na ognisku, a potem podał nam pod nos. Jediną pracą biwakową było dla nas rozstawienie namiotów. Nie należały one do organizatora, jak to zwykle tu bywa, ale były naszą własnością. Gdy nadeszli już niosący je tragarze, zabrałem się do tego z przyjemnością.

Wszystko było jakieś przekręcone. Wieczorem Orion doszedł do zenitu, czego u nas nigdy tego robi. Za to Wielki Wóz występuje wyłącznie wywrócony do góry kołami.

Drugi dzień zapowiadał się niezwykle interesująco. Wkraczaliśmy bowiem w afroalpejską strefę roślinną, gdzie zarośla krze-

wiastych wrzośców, to jakby odpowiednik naszej kosówki. Są tam też inne niezwykle egzotyczne rośliny, jak lobelie czy starce. Starzec (łac. *Senecio*) to prawdziwy król tej strefy. Jego zielona „czupryna” wznosi się na parometrymwnym pnium, otulonym na całej swej długości efektywnym kołnierzem suchych liści.

Niestety, obszar wzdłuż naszej trasy okazał się wielkim pogorzeliem po pożarze, który miał miejsce rok wcześniej. Niektóre rośliny przeżyły. Opalone z zeschniętych liści starce przypominały oskubane koguty. Z dostojęstwa nie pozostało nic. Żałosny widok.

Po zaledwie trzech godzinach marszu osiągnęliśmy Płaskowyż Shira i miejsce biwaku na wysokości 3800 m n.p.m. Jak na mój gust trochę za mało chodzenia, ale przynajmniej skuteczniej się zaaklimatyzujemy. Tymczasem nasz cel był już coraz bliżej. Pod wieczór ośnieżona kupa Kibo wyłoniła się z chmur i trwała tak aż do rana. Dzięki odpowiedniemu ustawieniu namiotu mogłem podziwiać ją nie opuszczając śpiwora.

Trzeci etap podejścia prowadził nas przez krajobrazy księżycowe. Same nagie skały i kamienie. W drodze spotkaliśmy dwóch turystów, którzy dopiero co zeszli z Uhuru Peak przez Western Breach. Ich relacja wlała wiele otuchy w nasze serca.

– Większość trasy jest po śniegu, ale nie ma problemu z przejściem. Są dwa, trzy miejsca nieco trudniejsze.

– Czy są potrzebne raki lub czekan?

– Nie! My używaliśmy tylko kijków. Ja wszedłem na swą pierwszą górę w życiu. Wy na pewno wejdziecie – dodał starszawy pan.

Zrobiło nam się różnie. Raków, czekanów i kasków nie mieliśmy – nie miały być potrzebne. Wprawdzie szef firmy w Arushy zapewniał, że aktualne warunki śnieżne są dobre i trasa jest przechodzona, ale nasz młody przewodnik, Masaj imieniem Idrisa, zachowywał się niejasno. A to przebąkiwał o możliwości pójścia inną drogą (znaczy się dzień dłużej), a to błędnie wskazał Western Breach w kopule Kibo, gdy patrzyliśmy jeszcze z Płaskowyżu Shira. Western Breach – całkiem charakterystyczny „Wyłom Zachodni” – był wówczas zastąpiony chmurami.

– Krzysztof, jak ty powiesz, że za dużo lodu, to zawróćmy – tak Idrisa manifestował swe górskie doświadczenie. Krótko mówiąc: szczęście i ulga dla nas, że trasa ma być bez problemu.

Tego dnia dotarliśmy do obozowiska Lava Tower na wysokości 4600 m n.p.m. We wcześniejszych planach miało być miejsce przy lodowcu Arrow, 1 km dalej i 200 m wyżej. Zgodziłem się na zmianę ze względu na naszych tragarzy, których firma nie zaopatrzyła w namioty. Spali po blaszanych budach, lawowych jaskiniach czy załomach skalnych. Przy Lava Tower mieli przynajmniej ruiny baraków, a przy Arrow Glacier nie było nic.

Nastroje podczas biwaku w Lava Tower były wyśmienite. Pięć dni wcześniej na szczycie Meru dwie osoby doświadczyły co to wysokość (Adama bolała głowa, zaś Dorocie ciężko się oddychało). Teraz wszyscy czuliśmy się znakomicie. „Już jutro, Kilimandżaro”.

(c.d.n.)

Tekst i zdjęcia: Krzysztof Lisowski